



**Tak
fajnie
jest
żyć**

Przez ostatnie 10 lat sama Pani znajduje sobie role, np. „Shirley Valentine”, „Callas”, „Marlena”. Czy podobnie było z Martha z „Kto się boi Virginii Woolf”?

– Nie wszystkie wymienione tytuły były propozycjami dla mnie, od mojego teatru, czyli Teatru Powszechnego w Warszawie. Tylko „Marlena” była propozycją złożoną mi przez tłumaczkę, panią Mirę Michałowską. Dlatego szukałam, gdzie by to zrobić. W rezultacie spektakl powstał przy okazji kolejnego Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu i był ich własnością „Virginia Woolf”, czyli Martha, to znów propozycja mojego rodzimego teatru, którą przyjął z radością.

Czy przed przygotowaniem do roli widziała Pani film z 1966 roku z Liz Taylor i Richardem Burtonem?

– Oczywiście, ale nie pamiętałam go dokładnie. Teraz na tydzień przed premierą zobaczyłam jeszcze raz, choć reżyser prosił żeby tego nie robić. Jednak nie wytrzymałam.

Czy Martha, którą Pani gra, jest choć trochę podobna do tej, którą zagrała Elizabeth Taylor? Jaka jest Martha w Pani wykonaniu?

– Nie wiem. Rola jest napisana bardzo precyzyjnie i psychologicznie szalenie „prawidłowa”. Wiadomo o niej ile ma lat, jaką ma przeszłość, jak toczyło się jej życie, a także, że jest hałaśliwa, dużo pije. Język, którym się posługuje, riposty, rodzaj energii i żartu, też określa ją dość precyzyjnie. Nie wiem, ale wydaje mi się, że i w filmie, i w naszym spektaklu analiza tekstu, zdarzeń i psychologii postaci przeprowadzona jest w trybie realistycznym. Na pewno brakuje mi urody i biustu Elizabeth Taylor, a to wielkie braki w tej roli. Powiedziałabym – nawet zasadnicze.

Której z cech Marthy nie toleruje Pani u kobiety?

– Toleruję to złe słowo, całkowicie ją akceptuję i rozumiem. Co więcej będę jej bronić do ostatniej kropli krwi. To piękna postać i bardzo mi już dziś bliska. Właściwie od niedawna nią jestem. Niespełnione nadzieje na udane życie, a przede wszystkim na macierzyństwo, są osłą mojej roli. Także miłość do męża i wdzięczność za to, że niesie ze mną, czyli z nią, ten los. Wszystkie oskarżenia, złość, pozorna nienawiść i pretensje o to życie, wyrzucane pod jego adresem są oznaką rozpaczliwej i słabości. Tak bywa najczęściej i mam nadzieję, że widownia perfekcyjnie to zrozumie. A pozwalam sobie w tej roli na dużo.

Ostatnio bardzo rzadko spotykamy Panią na dużym ekranie.



Zdjęcia: Michał Rozbicki

Czyżby w polskim kinie nie było dla Pani propozycji?

– Tak, nie ma.

Większość z tzw. renomowanych aktorów możemy zobaczyć w telenowelach lub reklamach. Pani natomiast nie gra ani w jednych, ani w drugich. Dlaczego?

– Oj, tłumaczyłam się z tego już tyle razy. Bo nie. Dopóki mogę, to nie. Jak nie będę mogła dalej wytrwać bez telenoweli i reklamy, to zawiadomię dlaczego. Ale żeby była „jasność w temacie Marioli”: ja tego, w tej chwili, nie wartoścuję. Tylko tyle.

Na ogół aktorzy oburzają się, gdy utożsamia się ich z określoną rolą. Pani nie przeszkadza, że widzowie kojarzą Panią głównie z Agnieszką z „Człowieka z marmuru”?

– Tak pani myśli? To się pani myli.

Rola Agnieszki napisana została specjalnie dla Agnieszki Osieckiej. Jak to się stało, że to Pani, a nie Osiecka zagrała w „Człowieku z marmuru”?

– Nie wiem. Od napisania scenariusza do jego realizacji, przyczyn cenzuralnych, minęło przecież około jedenastu lat. Agnieszka wtedy już nie była w szkole filmowej, tylko w ogóle była gdzie indziej i zupełnie kim innym. Ale tak, to Ona była pierwowzorem.

Czy Janusz Gajos miał rację mówiąc o Pani: „Często zagubiona, trochę zaniepokojona tym, że świat daje jej do zrozumienia, iż nie zawsze może być taki, jakby ona chciała. Wtedy szuka schronienia w objęciach męża i tam czeka, aby znowu nabrać pewności, że ma rację”?

– Z chowaniem się w objęciach męża prawda całkowita, tylko powody są troszkę inne. Ale to także prawda, że często z nim,

z moim mężem, konfrontuję swoje niepewności i welszmerce. Czekam na potwierdzenie lub zaprzeczenie. Ale z objęć korzystam w różnych sprawach, także jak jestem absolutnie wszystkiego pewna i szczęśliwa, a świat jest taki, o jakim marzę, żeby był. *

Czy to prawda, że Pani mąż jest zazdrosny o komputer?

– Nie, tylko martwi się, że oddaje poranne godziny snu jemu, tzn. komputerowi. Zostałam w jakimś sensie jego poranną niewolnicą. Ale mój mąż rozumie też, że widocznie tak ma być.

Wśród ludzi, którzy z Panią pracowali, panuje na Pani temat opinia: „nawet, kiedy milczy wydaje się, że krzyczy”. Czy stwierdzenie to pasuje do Pani osoby?

– Nie wiem. Może kiedy pracuję. Bo prywatnie ani nie jestem tzw. duszą towarzystwa, ani kimś specjalnie energicznym. Zdarza się, że potrafię milczeć cały wieczór wśród ludzi i tylko słuchać, szczególnie, kiedy mówią mądrze i dla mnie zaskakująco. Uwielbiam słuchać ludzi. Ale prawdą jest też, że nie lubię tracić czasu i szybko, jasno i wyraźnie wyrażam opinie na temat tego, co robimy.

W przeciwieństwie do innych kobiet otwarcie mówi Pani o swoim wieku. Nie przeraża Panią upływający czas?

– Bardzo przeraża. Ale nie w tym potocznym, powierzchownym sensie. Mój mąż śmieje się, że co jakiś czas po prostu protestuję przeciwko temu, że kiedyś będę musiała przestać żyć. Buntuję się i nie chcę tego. Ja nie chcę umierać! Strasznie mi żal. Tu jest tak interesująco. I tyle do zrobienia. I tak fajnie jest żyć!

Dziękuję za rozmowę. ○